

O ZACZAROWANEJ KRÓLEWNIE.

Ja i Bibik szliśmy przez las pełen cietrzewi.

Cietrzew to taki ptak, który tokuje od czasu do czasu. (Tokowanie to taki cietrzewi sposób na samice, bardzo skuteczny. Człowiek n. p. musi robi różne rzeczy, a cietrzew tokuje.)

Nie byłem zadowolony, bo Bibik zabrał mnie do tego lasu wbrew mojej woli, podstępnie, kiedy spałem. Nie lubię chodzić, kiedy śpię.

Za to Bibik był cały szczęśliwy, bo znalazł się w lesie swojego dzieciństwa.

(Z tymi cietrzewiami trochę przesadziłem. To były dzięcioły.)

Opis przyrody:

Zewsząd otaczały nas ogromne buki i inne drzewa, tak na oko parusetletnie. Ich przerażająco pobrużdżona kora przypominała schłostane wiatrem twarze stuletnich Indian. Ścielący się po ziemi wysoki mech wyglądał jak zielony płomień, a błyskające gdzieniegdzie stokrotki zdawały się dzwonić jak dzwonki z porcelany. Sapanie Bibika wplatało się harmonijnie w śpiew cietrzewi i posuwisty szum liści pod stopami. Jesień dojrzała gnuśnie.

(Tak poważnie to nie było żadnych buków, to tylko tak mi się napisało; to znaczy, może to i były buki, nie wiem, nie znam się. Na pewno nie jodły. Duże liściaste drzewa o lekko srebrzystej korze. Szumiały pięknie: cicho i głęboko. Las był pełen wiewiórek, tych rudych, oraz ptaków śpiewających – to zaskakujące – półgłosem.)

Bibik prowadził mnie przez las nie ścieżką, ale na przełaj, co chwila wskazując na jakieś cuda i dziwy, jak na przykład jama borsuka, niebieska wiewiórka, jodłująca pliszka...

(No nie, znowu. ŻADNEJ PLISZKI! Normalne ptactwo. Normalne! Pióra i ogon.)

II.

- Posłuchaj, mistrzu – powiedział nagle Bibik.
- Nie mów do mnie mistrzu!
- To jak? Rycerzu?
- Możesz mi mówić „doktorze”.
- Dobra – zgodził się. – Posłuchaj więc, doktorze: to jest kraina baśni.
- Nie zauważyłem.
- Zauważysz. I nie bądź zdziwiony, jeśli będziesz tu umiał rzeczy, o których dotąd nawet nie marzyłeś.
- Jakich rzeczy?
- Nie wiem. Za każdym razem jest inaczej.

Spróbowałem zaśpiewać, cichutko. Zza krzaka wyrzwał zaspany borsuk, spojrzał na mnie z wyrzutem i poszedł. Spróbowałem głośniejsze. Dostałem szyszkę w głowę. Nie wiem, od kogo.

- To już jest świństwo, Bibik! Zmieniamy bajkę!
- Dlaczego?
- Nie słyszysz? Nie tylko nie mam lepszego głosu. Ja mam gorszy!
- A – to słyszę. Rzeczywiście – gorszy. Po prostu nie śpiewaj.
- Po prostu? – spytałem z goryczą.
- I w żadnym wypadku. – potwierdził Bibik stanowczo.

W tym momencie zobaczyliśmy krowę.

III.

- Piwo!!! – wrzasnął Bibik i rzucił się do niego. Rzeczywiście, piwo.
- Skąd wiedziałeś? – spytałem nieco zaskoczony.
- Przecież to bajka, tu nic nie jest normalnie!

(Z tym piwem to znowu mi się napisało nie tak. To nie było piwo. To był ajerkoniak.)

I w tym momencie krowa odezwała się ludzkim głosem.

IV.

Opowieść krowy.

Osoby:

Król – dobry.

Królowna – mała, głupia, ale urocza.

Czarodziejka – zazdrosna o małą.

Rozwinięcie.

Król: dobry, chociaż... Właściwie, to... On...

Bo robaczków nie lubił. Brzydził się. Wszystkiego, co pełza, wije się i łązi. I lata też. Jak zobaczył byle chrząszcza, to wprost w histerię wpadał, pisał i kapciem o tron walił. Albo się po kotarach wspinał i dyndał, póki latajki nie zatłukli.

Taki był!

Dziwną, niemal ekstatyczną radość sprawiało mu co cięższym przedmiotem robiła rozplaskać, (o ile się w ogóle do niego zbliżył). Im cięższy przedmiot, im więcej hałasu robił – tym radość większa i oddech przyspieszony.

Wprawdzie dla bajki nic z tej jego cechy nie wynika, ale charakteryzuje go nieźle.

Dobry był, królowina, pocziwy.

Duchy karmił, krasnoludki rozmnażał, podatkami zbytnio nie cisnął.

Z innych jego cech:

- herbatę strasznie siorbał;
- niedosłyszał;
- bitny nie był.

Ot, król.

Jakich wiele.

Choćby – no, mniejsza z tym.

(Co ja za bzdury tutaj wypisuję? Przecież było inaczej! Król miał na imię Józek, przepraszam, Józef, i nie miał żadnych cech szczególnych. Ot, król. Jakich wiele. Choćby – No i znowu! Po znakach szczególnych jest KROPKA! To znaczy po cechach, bo miał jeden taki szczególny znak: duże, namiętne, wilgotne wargi...

Poddaję się.)

Królewna: mała, głupia, ale urocza. Mała oznacza półtora metra w butach. Głupia – no, głupia, po prostu. Pierwszą klasę powtarzała raz, drugą dwa razy, trzecią trzy i dali jej spokój przy piątej.

(Nieprawda! Przy trzeciej, już!)

Urocza – śmiała się często. Z wszystkiego. Tak na wszelki wypadek, kiedy czegoś nie rozumiała (czyli bardzo, bardzo często). *(Prawda.)*

Uroczo się śmiała: hi hi hi! Trochę przeraźliwie, więc wata była w cenie na Dworze. Za to od najmłodszych lat wiadomo było, gdzie aktualnie jest: tam, gdzie wypadają szyby.

Czarownica – zazdrosna. Piękna, o tak, bardzo piękna, tylko śmiała się basem. Hu hu hu, o tak. I o to była zazdrosna.

Więc zamieniła królewnę w krowę.

KONIEC OPOWIEŚCI KROWY.

V.

(Muszę, koniecznie muszę coś wyjaśnić! (Nic nie muszę.)

Muszę. (Nie.)

Nie zawsze panuję nad tym, co piszę. Zupełnie nie wiem, czemu. (Nie pisz tego, idioto!) Może to baśń, żyjąc własnym życiem, porywa mnie, a może pisze się sama... Nie wiem.

I przepraszam.)

VI.

Tragiczna w swej prostocie opowieść krowy poruszyła nas głęboko. Bibik, pólżąc i ssąc wymię, miał łzy w oczach.

- To potworne. Potworne. – powtarzał – Musimy coś z tym zrobić.
- To jeszcze nic... – szepnęła krowa. – Wiecie, czemu uciekłam? Mój tatuś kochany zaczął przerabiać moje... Moje... – Nie mogła tego wydusić z siebie.
- Placki? – Domyślił się Bibik. Krowa tylko skinęła głową.
- Na eksport. – Dodała. – Przerabiał je na cegły masajskim sposobem i budował z nich cukrownie. Łajdak!!! – wrzasnęła, aż z sosny opodał spadła kora. *(Nie spadła.)* – Bydlę! Tak mnie upokorzyć! Skarbiec, powiada, pusty, będziesz zarabiać na wiano. Siła mnie karmili...
- To potworne... – Szepnęliśmy z Bibikiem unisono.
- A jak cię odczarować? – Spytałem.
- Musi mnie pocałować smok.
- Chol-lera... – Bibik aż wytrzeźwiał. – Tego się chyba nie da zrobić. Zeżre cię od razu.
- No właśnie... – Westchnęła krowa. – Tak się boję...
- Jest sposób! – Olśniło mnie. – Trzeba znaleźć smocze gniazdo, ukraść jajo i wysiedzieć je. Mały będzie mały i niegroźny.
- To – jest myśl! – Wrzasnął Bibik i znowu się przypiął do wymiona.

Puchłem z dumy.

(Nieprawda. To było tak: kiedy siedzieliśmy, odrętwiali i zrozpaczeni losem królewny, podlażł do mnie taki jeden jeź.

- Kolego... – Mruknął, szturchając mnie nosem. –
- Co powiesz?
- Mam pomysł. Trzeba znaleźć gniazdo smoka... *(itd.)*. Tylko proszę, szybko, bo przez tą panią młodzież mi się rozpija; już mają pomysł, żeby robić calvados...

Tak było! To jeź wymyślił, a ja, ponieważ zostałem obdarzony w tej bajce mocą rozumienia mowy zwierząt, przekazałem ten pomysł Bibikowi.

To jeź – I JUŻ.)

VII.

Poszliśmy. Przygód mieliśmy sto. Tak w skrócie, te najciekawsze:

1. Bibik sam jeden rozpirzył bandę krasnali. Fragmenty opisu:

(...) odskoczył i jak nie walnie konarem przez łeb! Ten się tylko otrząsnął i dalej gryzie. Wtedy (...)

(...) ad. Tymc (...)

(...) jad! Jad miał w gębie! Trupi! Potworny krasnal! (...)

2. Zakochałem się przejściowo w takiej jednej królewnie zaklętej w kukulkę. Mój pocałunek, zapewne przez fakt mego pozabajczanego pochodzenia, odczarował ją tylko częściowo: ciało – i owszem, tylko dalej kukała.

3. Bibik sam jeden rozpirzył bandę krasnali. Fragmenty opisu:

(...) gi mu migaly. Bibik wydał wrzask ostatecznego zwycięstwa. Wtedy ja, a zaraz potem krowa rzuciliśmy mu się na szyję. (...)

4. Bibik sam jeden rozpirzył bandę krasnali.

5. zakochałem się przejściowo itd. Też kukała.

6. Bibik itd.

7. (...) wtedy zamieniłem tą wiedźmę w kukulkę. Czar prysnął i las zaroił się od królewien, uparcie szukających wybawiciela. Uciekliśmy żwawo.

8. Bibik sam jeden itd.

VIII.

Smocze gniazdo odnaleźliśmy – po wielu tygodniach poszukiwań – na szczycie wieży zrujnowanego zamku, w niegdyś kwitnącej, a obecnie spustoszonej okolicy. Właśnie owo spustoszenie naprowadziło nas na myśl, że gdzieś tu panoszy się smok.

Wchodząc na wieżę podejmowaliśmy ogromne ryzyko: nie wiedzieliśmy, czy smok jest w gnieździe, a krowie trudno się było skradać, szczególnie po metalowych stopniach. Na szczęście – smoka nie było.

(Ogromne te stworzenia traktują swoje gniazdo podobnie, jak my domki letniskowe: zjawiają się w nim mniej więcej raz w roku, na parę tygodni. Przez resztę czasu włóczą się. To dlatego jest ich tak mało: one nie tyle wysiadują, ile „dosiadają” swoje jaja. Tak od okazji do okazji.)

W gnieździe było jedno jajo, lekko już pęknięte. Smok najwyraźniej właśnie się wykluwał, więc królewna pośpiesznie je dosiadła. W ostatniej dosłownie chwili, gdyż natychmiast rozległ się pisk i spod jej ogona wylazło smoczę.

Piękne było! Całe białe (kolorów nabierze później), tylko oczy miał złote, z czerwonym blaskiem i błękitną obwódką.

Ledwie wylazł – wrzasnął „mama!” i zaczął ssać. Ten ajerkoniak, oczywiście. Ssak? Nieważne; istotne, że urznął się natychmiast i zasnął. O całowaniu nie było mowy.

I wtedy przez okno wlaźł smok. Ten duży. Ten strasznie duży.

- Kolego... – Mruknął, szturchając mnie nosem.

- Tak? Słucham? – Zdołałem odpowiedzieć.

- Kto to jest ta śliczna wołowinka?

Wyjaśniłem.

- Mmmm... – Mruknał. – Tak szczerze mówiąc, to za wołowiną nie przepadam. Wolę królowny. A nie dałoby się tak coś z tym zrobić?

- Tak, oczywiście, panie Smoku! – Bibik był bardzo wylewny. – Wystarczy dać jej buzi i zaraz się zmieni!

- Powiadasz?

- Jak kocham Józkę! Buzi – i już!

- Bibik, zwariowałeś? – Szepnąłem. – Taż on ją zeżre, od razu. On woli królowny.

- Cicho, nie bój się, wiem, co robię. Już się zorientowałem, że tym razem, w tej bajce, dostałem moc psucia magii.

Rzeczywiście. Kiedy smok cmoknął krowę w policzek – aż się wzdrygnęła – natychmiast przemieniła się w świnię.

- Co to jest! – Ryknął smok.

- Nie wiem, może czar już zwietrzały, albo niedbale rzucony?... Trzeba próbować, próbować!

Smok przypiął się do ryja.

Widok był zaiste niezwykły. Z jednej strony potworne bydlę, piękne w swej grozie, lśniąco-tęczowo, o krwistoczerwonych skrzydłach, przymykało oczy, nie chcąc najwyraźniej widzieć, co całuje; z drugiej zaś burza kształtów, wciąż zmiennych, przechodzących miękko jeden w drugi. Tempo przemian było tak szalone, że chwilami części ciała nie nadążały za sobą, toteż po początkowo czytelnych transformacjach zaczęły powstawać dziwaczne hybrydy, niektóre dziwnie piękne. Osioł, delfin, kura (ogromna!), niedźwiedź, mysz (też monstrualna). Borsuk, borsuk, borsuk, świnka, borsuk, świnka, jeż, jeż, jeż, pliszka, bocian, owca, dynia, i w ogóle wszelki zwierz!

W pewnym momencie, bodaj przy mrówkolwie czy mrówkojadzie, ogon smoka zmienił się na chwilę w ogon najwyraźniej szczurzy.

- Widziałeś? – Bibik był cały radosny.

Przyczailiśmy się przy królownie.

Cała trudność polegała na tym, żeby wyłapać moment, kiedy królowna przemieni się w siebie przy jednoczesnej przemianie smoka w coś niegroźnego – i wtedy przerwać pocałunek. Czekaliśmy do zmroku. I królowna, i smok już niemal mdleli, dyszeli ciężko i bodaj, czy nie zaczęli się w sobie powoli zakochiwać, gdy obaj z Bibikiem rzuciliśmy się na nich z głośnym „hurra!”.

Smok był w tym momencie psem rasy jamnik, o bardzo smutnych oczach i ze skrzydełkami wróbla.

- Będzie się wabił Malizariusz, na cześć wuja. – Zawyrokował Bibik.

Zaś królowna... Królowna była dosyć normalna. Przeciętnej urody, brunetka, przy kości. Tylko uszy miała... Jak by o powiedzieć... Trochę spiczaste. Takie jakby nie swoje.

Takie jakby jamnicze.

A jamnik miał jej uszy.
I ten jamnik miał też jej śmiech. Więc go nie wzięliśmy ze sobą. A ta okolica dalej była – jeszcze długo, długo – bezludna.
Nie dało się tam mieszkać.
No nie dało się i już. Ten jamnik tam wciąż latał i czekał.

IX.

Wróciliśmy. Przygód było sto. Najciekawsze w skrócie itd. (To oczywiste: Bibik sam jeden rozpirzał dzielnie watahy i kohorty krasnali, a ja się wciąż przejściowo kochałem i zawsze dziwnym trafem w kukułkach. Cóż, czasem i oczywistą rzecz trzeba wytłumaczyć, prawda? Żeby uniknąć niejasności.)